

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

DJABEŁ, TOM CZWARTY

Józef Kraszewski
Djabeł, tom czwarty

«Public Domain»

Kraszewski J.

Djabeł, tom czwarty / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom IV	5
I	5
II	9
III	15
IV	20
Конец ознакомительного фрагмента.	22

Józef Ignacy Kraszewski

Djabeł, tom czwarty

Tom IV

I

Pan podkomorzy brański, który zobaczywszy Anusię rozgorzał nie pomału (bo go płomień nie wiele kosztował, ale i ostygnięcie nie było trudne) – człowiekiem był lekkomyślnym nad wszelkie pojęcie, życie gotów zawsze postawić za to, co jutro by przez okno wyrzucił.

Z młodości nic nie stawiało tamy rozhukanym jego namiętnościom, los dziwnie mu sprzyjał i z najtrudniejszych okoliczności jakby cudem zawsze wywikłał. Ztąd wyrobiło się w nim zuchwalstwo niesłychane i rzucanie się bezmyślnie na wszystko co dogadzało chwilowej bodaj fantazji. Szał u niego nie rodził się z namiętności, ale z nałogu dogodzenia sobie. Serce dawno w nim spało zdrętwione zepsuciem, głowa tylko gorzała i ciało się miotalo. Był on jedną z tych postaci, jakie się zapewne trafiają we wszystkich krajach i czasach, ale miał na sobie cechy epoki i miejsca – epoki, co rozpasywała ludzi właśnie jak konanie, co niekiedy martwy język i myśli uszione rozwiąże.

Dla niego wszystko w nim tylko było. Świat miał za rzecz dodatkową, na służbę jemu skazaną – myśl nigdy nie poszła wyżej, serce nie zbudziło się z letargu. Dalej! bądź co bądź – było jedynym jego hasłem. Rodzina patrzyła z przestachem na to wyuzdanie młodzieńca, który jak ów senny chodzący po dachu, co chwila mógł spaść i rozbić się w kawałki, ale osobliwsze jakieś strzegło go szczęście, jakaś niewidoma opiekowała się nim ręka... Miał podkomorzy silnego i nieznużonego opiekuna w królu, protektorkę naturalną w familji, która nim władała, ale oboje to nie starczyłoby jeszcze, gdyby nie osobiste jego szczęście.

Tracił ogromnie i zawsze miał co tracić, narażał się i wychodził cało, szalał a nie mógł nic spletać coby go zgubiło; nadużywał sił, zdrowia, ludzi, pieniędzy, a miał je zawsze na zawołanie.

Powszechnie też tego wesołego utracjusza i hulakę zwano dzieckiem fortuny, i on sam przywykł w swoją gwiazdę wierzyć, jak gdyby się nigdy zaćmić nie miała. Zresztą był to, jak wielu jego współczesnych, więcej roztrzpiotany i zepsuty niżeli zły człowiek, uniewinniało go wychowanie, przykłady, nałóg!! Byle czego zażądał, nie znał co to niepodobieństwo, ani mierzył wartością rzeczy starania się o nią, ale żądza swoją – a żądza wzrastała najłżejszem podrażnieniem, zaporą, trudnością. Trafiło się, że podkomorzy tracił tysiącami dukatów dla tych co byli do zbycia za talara – byle kamyczek na drodze leżał między nim a niemi.

Rozchodzące się opowiadania o piękności Anusi, o surowem jej zamknięciu, – powtarzane nietylko w mieście, gdzie po salonach za wachlarzami zmyśloną historję damy sobie podawały, ale nawet w zamku, dostateczne były do podżegnienia pana podkomorzego brańskiego. Wejrzenie jego na Anusię, którą znalazł wcale inaczej niż myślał, zaostrzyło tylko chęci, nie zmieniło zamiarów. Może też wdzięk niewinności, woń prostoty, nowa dla niego co obcował z zepsuciem miejskiem, urok jakiś miały pociągający. Słowem, podkomorzy rozgorzał, oszalał, głowę sobie nią nabił i pokoju nie mając, gryzł ustawicznie palce (jak był przywykł) myśląc jakby się do Anusi przybliżyć, jak ją pochwyć.

Posłał zaraz szpiegów swoich na zwiady, a nim parę dni minęły, miał już dokładniejszą nieco wiadomość kto była Anusia, jakie ją z podczasycem łączyły stosunki i widział jak trudno mu będzie zbliżyć się do niej. Wiadomość ta ukazując mu same przeszkody, zraziła go nieco, ale cofać się przecie nie myślał. Już się był kilku poufałym zwierzył swojego projektu, a że nic w sobie utrzymać nie mógł, zaraz też przed niemi żalić się począł, jak mu to ciężko szło, że Anusia była dziewczęciem prostem

i pocziwem, wychowaniem na wsi, że sposobu prawie nie ma do niej dostąpić; przyjaciele rozśmiali się na całe gardło.

– A! a! podkomorzy się cofa! – zawołano – za trudno! przecież trafiła kosa na kamień!

– Ja się cofam – wykrzyknął bijąc pięścią o stół zapalenię – tego jeszcze nie bywało i nie będzie! Idę w zakład jeśli chcecie, że za tydzień Anusia gospodarować nam będzie w moim domku na Nalewkach.

Podkomorzy, wzorem owych sławnych domków zwierzyńca *parc aux cerfs*, miał domek urządzony na Nalewkach, gdzie ulubienice trzymał i dawał niekiedy poufałym swoim wieczorki i baliki bardzo głośne.

Słowo się tedy rzekło, pochwycono je, potrzeba było dotrzymać! Podkomorzy zagryzł palce do krwi, natarł głowę, ale zaklął się że na swoim postawi... Sam tu nie wiele mógł zrobić, musiał użyć zwykłych swoich pomocników, kamerdynera Syxtyńka (rodem ze Lwowa, który że się gdzieś znalazł na ulicy Syxtówką zwanej i nazwisko też od niej otrzymał) i niejakej Szwędzkiej. Syxtynek na ten raz nie bardzo mógł usłużyć, na Szwędzkiej cała spoczywała nadzieja.

Były to wybitne swego czasu postacie, których lekko zbyć niepodobna. Syxtynek, łotr kamerdynier, bo jaki pan taki kram, ale łotr elegant co się zowie, z góry traktujący nie tylko kamerdynierów braci, ale szlachtę szaraczkową, równie jak pan ufał w szczęście i broił niesłuchanie, rachując na podkomorzego, że go i z pod szubienicy wyciągnie. Zuchwała sztuka, miał się za równego wszystkim, a jeśli raczył przed królem uchylić kapelusza, to raczej przez bojaźń kija niżeli uszanowanie. Miał on tyle dowcipu i sprytu, że w potrzebie mógł z siebie na chwilę i dosyć potulnego zrobić człowieka, ale zawsze grał rolę panicza i udawał że panu podkomorzemu przez przyjaźń tylko służy. Że go pochodzenie i nazwisko piekło, zrobił sobie jakąś romantyczną historją swego rodu, którą często na plac najbezczelniej wyciągając, od jakiegoś hrabiego Syxta w prostej linii się prowadził.

Madame Szwędzka chodziła wszędzie z tym francuzkim tytułem bardzo słusznie, raz że podobno miała w początku sklep modniarski, powtóre, że zajęcie jej i rola wcale nie polskie, francuzką ją czyniły. O pochodzeniu tej awanturnicy nikt nie wiedział, ani z kąd się wzięła w Warszawie; jakiś akcent cudzoziemski w mowie się jej przebijał, a rysy też nie były tutejsze. Ciemnej płci, oczów czarnych żywych, twarz już około czterdziesto-letnia ale jeszcze resztki piękności starannie pielęgnująca, gadatliwa, ruchawa, żwawa, bezczelna, znała cały świat, tylnymi drzwiami bywała nawet w zamku u Bruneta, w każdym pałacu miała jakieś stosunki, jeździła koczkiem, ubierała się wytwornie, szczebiotała po francuzku, a krąg jej znajomości tak się rozciągał szeroko, że z jednej strony dotykając antykamery króla, z drugiej zajmował uliczną tłuszcę i najbrudniejsze szynkownie.

Mieszkała na ulicy Bednarskiej, w swoim podobno własnym domu, tajemniczej kryjówce, do której wchodziło się przez trzy bramy: od przodu, z tyłu i z boku. Wrota były zaryglowane, straż pilna, a kto wie co się działo wewnątrz! Niezmiernie zawsze zajęta, madame Szwędzka we dnie prawie się nie pokazywała, lub jeździła *incognito*, wieczorem dopiero puszczała się w świat za swemi interesami. Co robiła a czego nie robiła, określić niezmiernie trudno.

Wozila listy, bileciki, czasem jeździła aż na wieś i powracała często nie sama, ale z ładnymi towarzyszkami, sprzedawała brylanty, zegarki, koronki, podejmowała się tajemnych prezentów, intrygowała na wszelkie sposoby, wpływała nawet ubocznie do facjend majątkowych i politycznych. Nikt nigdy się nie przyznawał głośno do znajomości z nią, ale mało kto naówczas jej nie używał w jakimś krytycznym razie. Rozumie się, że madame Szwędzka jeździła, posłowała, pośredniczyła i krzątała się nie darmo, dobre umiędąc ciągnąć zyski ze swego generalnego faktorstwa. Cnotą, która ją wniosła na wysoki popularności stopień, głównym przymiotem, była niesłuchana zręczność i dyskrecja. Nigdy nie skompromitowała nikogo, ani dobrowolnie, ani przypadkiem, nie dała się złapać za język ani za pismo, milczała doskonale. W razie biedy wykręcała się sama przemożnymi wpływami, ale za sobą nie pociągała nikogo.

W owych czasach intryg, miłostek, facjend, przekupstwa, tajemnic, silny był pomocnik do wszystkiego z madame Szwędzkiej.

Kto ją mógł mieć, pewien był swego, ale tego sprzymierzeńca pozyskać nie było łatwo: co dzień stawiała się droższą, dumniejszą, kapryśniejszą, mniej przystępną. Czasu tego sejm, i napływ osób i namiętności, dawał jej ogrom zajęcia, i z bogacił był znacznie. Przebąkiwała już, że chce sobie wyszukać męża i usunąć się od interesów (*se retirer des affaires*), a resztę życia spokojnie gdzie na wsi przepędzić.

Nic ją bardziej nie gniewało nad niezręczność, bo doświadczenie i dowcip uposażyły ją samą w najosobliwszą trafność do wszelkiego rodzaju robót. Dla niej także nie było niepodobieństwa; trafiła do każdego, poczynając tylko od pytania: a co on lubi? nie znała co to drzwi niedostępne, co ludzie nieużywi.

Szwędzka na wielkim świecie miała ulubionych kilku klientów, do których liczyli się koryfeusze partji hetmańskiej, dawniej książę podskarbi i kasztelan, ale dwóch ostatnich rzuciła, jednego, gdy go pod sąd oddano, drugiego, gdy oratorem z profesji został. Ocierając się o ludzi, pomimo podszewki gburowskiej która się zawsze w niej przebijała, tak się była powierzchownie otarła, tak nabrała maniery świata, że przez godzinę jaką mogła by była w najlepszym mieście się towarzystwie; a gdy chciała, tak grała rolę głupowatej, cnotliwej, skromnej, że oszukała by każdego. Niepospolita aktorka umiała ludzi na pamięć i korzystała potężnie z tej umiejętności. Chciwa, dumna, bezczelna, miała wszystkie wady swego stanu, ale w wysokim stopniu posiadała jego przymioty.

Podkomorzy jak skoro przysiągł mieć Anusię, poleciał zaraz sam do Szwędzkiej, nie chcąc czekać póki wezwana przyjechać raczy. Ledwie się dostawszy do bramy od tyłu, ledwie wymodliwszy posłuchanie, musiał jeszcze czekać, bo jejmość była na konferencji z jakąś tajemniczą figurą, która przybyła najętą karetą i weszła tak zakwefiona, żeby jej i djabeł nie poznał.

Po odprowadzeniu tej pani do powozu, madame wyszła nareszcie do podkomorzego zafrasowane trąc czoło. Przyjmowała go może umyślnie w małym trochę przyćmionym saloniku, z którego aż czworo drzwi, w cztery wiodły strony. Pokój to był mimo dość przyzwoitego i wykwintnego niby przybrania, tchnący bezceństwem jakimś... była w nim jakaś woń zbyteczna, woń rozpusty, co się oblewa wyciskiem wszystkich kwiatów by straconą świeżość niemi nagrodzić... drzwi jego patrzyły złowrogo, posadzka zdawała się miejscami jakby krwią zaschlą po zbrodni poplamiona, każde krzesło spowiadać się zdawało z jakiegoś występku którego było świadkiem. Na dwóch fałsz-marmurowych słupach stały dwa piękne ale pęknięte wazy, których szczyrby kto wie jak powstały?

Zasłony okien zdawały się potargane, pomięte, jakby je kiedyś konwulsyjna chwyciła ręka, zostawiając ślad gwałtu – powietrze było ciężkie i lochowe... Światło padało ukośnie, niechętnie i zmieniało się w fałszywy jakiś odbłask, który kłamał na twarzach czego w nich nie było. Ale podkomorzy zajęty swoją sprawą, nie miał czasu zastanawiać się nad fizjognomią salonu, i szybko zbliżył się do madame. Ona w progu, starannie jednak drzwi za sobą zamknawszy, płaśnęła w ręce, kiwając głową ze śmiechem.

– A! a! cóż to za niespodziany gość u mnie! musi ci być gorąco podkomorzuniu (zwała wszystkich bez ceremonji, spieszczając tylko tytuł lub imię) kiedyś się aż sam do mnie pofatygował.

– Szwęsiu, kochanie, chodzi o mój honor... i o... serce. Oboje w niebezpieczeństwie...

– O! o! już się pali jak jasna świeca! – zawołała jejmość, kręcąc głową ze zbladłym uśmiechem – a jak nie w porę przychodzisz! nie wyobrażasz sobie co mam na głowie, półtory kopy najtrudniejszych interesów...

– No, to jednym więcej nie zawadzi.

– A daj mi pokój! ty ze swoim musisz kolei czekać (wiedziała komu to mówiła).

Podkomorzy obrócił się na nodze i syknął.

– A idź do djabła z poczekaniem! oto mi słowo!

Madame śmiejąc się z trafności swojej rzuciła się na kanapę.

- No mów – nie mam czasu, krótko a węzłowato.
- Naprzód słowo że się podejmiesz.
- Zobaczę.
- Tu nie ma zobaczeń – potrzeba, musisz i kwita. Dam co zechcesz a zrobisz co powiem.
- Dam co zechcesz! – powtórzyła ruszając ramionami. – Jaki mi pan! no! gadaj!

W tem spojrziała jakby dla zobaczenia godziny na kameryzowany zegareczek wiszący u pasa, śliczne caceczko.

- Mów! nie mam czasu, *parole d'honneur!*

Poczęła się bawić zegareczkiem. Podkomorzy zobaczywszy go kwaśno się skrzywił, bo już rozumiał o co idzie.

– Ale naprzód – przerwała kładąc mu rękę z zegarkiem na kolanach – kupisz sobie u mnie to cacko... Śliczny pektoralik! same brylanty warte z 50 dukatów! a żebyś jeszcze wiedział w jakiej była potrzebie ta co mi go kazała sprzedać... co to za śliczniutki buziaczek! Dobrze żeś przyszedł, to go kupisz.

- A kupię! kupię! – trochę kwaśno rzekł podkomorzy.
- Otóż jeden interes skończony... dasz mi tylko sto dukatów.

Podkomorzy syknął, zagryzł palce, ale się nie sprzeciwił.

- Wstydź się, już sykasz! co to znaczy sto dukatów – *une misère!* teraz mów.

Podkomorzy począł całą historją Anusi i swoją, ale mu dończyć nie dała madame, domyślając się połowy. – Podumała nieco.

– Sprawa trudna, dziewczyna ze wsi, nie uboga może! zakochana, uczciwa! a to śliczną mi swatasz robotę, niech cię kaduk porwie!

- Szwęsiu, ale to zrobić się musi.

Kiwnęła głową.

- Potrzeba czasu.

- Trzy dni.

- Zwarjowałeś!

- No, to cztery...

- Najmniej tydzień.

- Nie sposób!

- Cóż myślisz na to sakryfikować? – zapytała wpatrując mu się w oczy.

- Ceny nie naznaczam.

- Szalony! – szepnęła ruszając ramionami – no! ale naprzód zapłać za zegarek.

Podkomorzy wyciągnął rękę po cacko, ale Szwęsia swoją cofnęła.

- Alboż myślisz go wziąć?

- A cóż kiedy kupuję!

– Kupujesz, ale mi go darować musisz, inaczej ani się podejmę interesu, tysiąc ich mam na głowie, idź do licha.

Zwróciła się ku drzwiom.

Podkomorzy dobył sakiewki, popatrzał na nią, ale coś wyglądało chudo.

- Pieniądze – rzekł – odeszł ci za godzinę, ale interes zrobisz.

– Dla ciebie podkomorzuniu jakże tego nie zrobić! szydersko uśmiechając się odparła Szwędzka i podała mu rękę – no! no! bądź spokojny a siedź cicho! Gdy będzie potrzeba to ci dam znać.

II

Nazajutrz rano szedł pan Kasper Sieniński z kościoła od św. Jana, a obok niego zakwefiona kobiecina, w której, najwprawniejszemu oku trudno było poznać wczorajszą madame Szwędzkę; chociaż nie kto inny mu towarzyszył. Ale jakże się zmieniła! co za spokój na jej twarzy tchnącej skromnością i smutkiem, jak niewykwintny ubiór, jaka obojętność i powolność ruchów!

Pan Kasper toczył z nią rozmowę po drodze, prowadząc ją do swego dworku.

– Jakże to być może – mówiła madame – żeś waćpan dobrodziej nie przypominał mnie sobie? Byłam naówczas na respekcie u JO. księcia kasztelana...

– Przyznam się waćpani dobrodziejce – odparł pan Kasper – że ja naówczas pokojowcem będąc, od czego (*intra parenthesim*) i najlepsza szlachta poczyniała – nie śmiałem ani oczów podnieść na respektowe panienki, a waćpani dobrodziejka musiałaś być chyba bardzo młodziutką, prawie dzieckiem.

– Tak jest, prawie dzieckiem – szybko dodała pani Szwędzka i westchnęła. – A co to za święty, bogobojny był dom księstwa kasztelaństwa... a sama pani! anioł!

– Święta, istotnie święta osoba! – rzekł pan Kasper.

– A sam-że? co to za dobroć. Ani się kiedy ofuknąć umiał, choć mu figle nie małe płatano. Bywało w największej złości nogą tylko tupnie i już bardzo źle, kiedy sobie zamiast przekleństwa krzyknie – *mirabilia!*

– A! a! pamiętam to jego przysłowie! to też go przyjaciele i nieprzyjaciele zwali z tego powodu książę *mirabilis*, a że JO. pani była trochę czerwona, to ją czasem jak śliwkę **mirabella** nazywali... Szwędzka się dobrodusznie rozśmiała.

– Ale jakże się to dzieje, że pani się dostałaś do Warszawy? – spytał Kasper.

– Długo by to było opowiadać – westchnęła madame – a nie ma co słuchać! ale chwala Bogu handelek mi tu poszedł, stosunki się porobiły niezgorsze, i gdyby tak jeszcze udało się znaleźć uczciwego człowieka, co by się zaopiekował moim wdowieństwem, a zarządził tym groszem co się to uciuchał! – bo to tak samej kobiecie, trudno!

Chrząknął i odprostował się pan Kasper – na wspomnienie grosza dziwna myśl zaświtała mu w głowie; spojrzał uśmiechając się w oczy jejmości, czapki poprawił, pasa pociągnął, wąsa podkreślił, czoło pogładził – ona oczki w dół spuściła skromnie.

– Tak samej kobiecie bez opieki – dodała – w takim mieście! ludzie często uczepią się, odra, oszukają, a niema się komu i ująć. Gdyby mi się tak stateczny człowiek trafił...

– Masz waćpani dobrodziejka słuszość, ale nie chłystek, stateczny, wytrawny, co by to grosza nie przehułał... choćby nie tak młody aby pewny...

– E! mnie tam wcale o młodość nie chodzi, mówiła ciągle wzdychając Szwesia – chcę opiekuna! zbliżali się ku dworkowi, a pan Kasper co raz stawał się rezolutniejszy.

– A do mojej ubogiej chatki nie raczysz to waćpani dobrodziejka nóżką wstąpić? – zapytał grzecznie.

– Jeśli pan pozwolisz? – skromnie odezwała się kobiecina.

– Najgorzej proszę mi ten honor wyrządzić, chociaż to ubogo, ubogo – ale bom ja oszczędny i z jutrem żyję, dodał cicho stary.

– Oszczędność to największa cnota! – odpowiedziała jejmość.

– Złota maksyma, jak Boga kocham – rzekł pan Kasper całując białą rączkę. – Pani mnie coraz mocniej za serce chwytaś – i poprawił się stary.

W tem zapukali do bramy, a Hołodryga wyścibił głowę – na widok nieznanym kobiecie wielkie oczy wytrzeszczył, otworzył furtkę za którą się ukrył i wpuścił wchodzących, sam zaraz pod Bernardyny ruszając.

Pani Szwędzka udając że nie wie kto we dworku zamieszkuje, weszła doń doskonale odgrywając rolę dewotki, z wielką księgą pod pachą, z ogromnym kokosowym różańcem w ręku. Pan Kasper nie mogąc jej przyjąć w swojej izdebce, musiał wprowadzić do średniego pokoju, gdzie właśnie samą zastali Anusię. W pierwszym wejrzeniu na nią nieostrożnem, łakomem, badawczem, dla innych ludzi byłaby się wydała niepoczciwa kobieta, tak jej oczy błysły szatańsko, ale nikt tego nie uważał, a ona rachowała na to i zaraz zakrzyczała w progu:

– A cóż to za niespodzianka! a toż jakie śliczne dziecię w pańskim domku? czy córka?

– Nie pani, mam honor przedstawić pani skarbnikowiczowej dobrodziejce (tak się mu kazała tytułować) synowicę moję, Annę Sienińską, wychowaną podczaszynej Ordyńskiej, która tu z ojcem swym, a bratem moim, pod tę chwilę nieprzytomnym, samotność moję podziela.

– Ależ to cudny fiołeczek ukrywający się w cieniu! zawołała Szwęsia, po przywitaniu siadając koło Anusi, która czegoś skłopotana i jakby przecuciem odepchnięta, odsuwała się trochę od dewotki. – Dawnoż to moje dziecię w Warszawie?

– Ja? od kilku miesięcy.

– I ciągle tu tak w kąteczku? – spytała przymilając się mniemana wdowa.

– Bardzo mi tu wesoło z ojcem i stryjem.

– Ależ to samotność nie dla twego wieku, kochane dziecię – dodała madame – to klasztor prawie. Waćpan dobrodziej – obróciła się do pana Kaspra – nie powinieneś tu tak dać wędznąć tej różycze.

Pan Kasper nie wiedząc co odpowiedzieć ruszył tylko ramionami.

– A cóż – dodał po namyśle – myśmy ludzie prości, gdzie nam towarzystwa szukać, siedzim w kącie, Boga chwając po prostu.

– Cha! cha! panience by się i kawaler należał! – wpatrując się wciąż pilnie w Anusię, dodała Szwęsia, przesywając wzrokiem biedne zmięszane dziewczę – ale na to jeszcze czas.

– O! i bardzo! – mruknął Kasper.

– Jakże to szczęśliwie – przemówiła po chwili – że nas los do siebie zbliżył panie Sieniński, to u mnie przecie panienka – jakże imię?

– Anna! – szepnęło cicho dziewczę.

– U mnie panna Anna znaleźć może czasem rozrywkę, towarzystwo uczciwe, zabawkę, mogę jej towarzyszyć do kościołów na nabożeństwo, przechadzkę, czasem i wieczorek u mnie spędzić weselej będzie. Ja bardzo lubię młode osoby, sama dzieci nie miałam, to się choć cudzemi chętnie otaczam.

– Bardzo dziękujemy pani – z galanterją rzekł stary przysiadując się nieco, a Anna przerwała:

– Ale ja się tu bynajmniej nie nudzę, ani towarzystwa pragnę, przywykłam do ciszy, spokoju i pracy.

– A to bardzo ślicznie – krygując się rzekła madame – bardzo ślicznie dla młodej panienki, bo to chroni od tysiąca niebezpieczeństw wśród tego zepsutego świata grożących, ale dla zdrowia i dla humoru nie wadzi niewinna rozrywka.

Anna zamilkła, Kasper czuł się w obowiązku potakiwać wdówce, która westchnęła.

– Oj bo to świat! świat ta nasza Warszawa! – odezwała się – co to za dwór! jakie to zepsucie, jacy mężczyźni, to imaginacją przechodzi!

– Rzeczywiście pani dobrodziejko – odparł Kasper – wzdrygam się patrząc – Sodoma i Gomora.

– A kościoły pustką, dodała Szwęsia.

– A hulanka bezustanna, i między panami i między sługami.

– Tak, że tu poczciwej kobiecie byle twarzyczka ładna, ani się na ulicę pokazać, spokoju niema od tych łotrów, mówiła dalej madame, z tego względu to dobrze że panna Anna nie bardzo rada wychodzi.

Rozmowa w ten sposób dosyć zręcznie prowadzona, trwała jeszcze chwilę, ale napróżno usiłowała różnemi sposoby Szwęsia przybliżyć się do Anusi, która czuła wstręt jakiś od pierwszego

wejrzenia na mniemaną dewotkę. Nareszcie wstała wdowa i uśmiechnąwszy się do pana Kaspra, rachując na to że zaproszenie go do domu i przyjęcie w nim, większe na umyśle Sienińskich zrobić może wrażenie, zaproponowała staremu żeby ją przeprowadził i nawzajem odwiedził. Kasper, który już dziwne na wdówkę miał projekta, pochwycił chętnie życzenie, wziął czapkę i laskę, podał jej rękę i powierzwszy Anusi straż domu, sam rzezko się zwiżając wyszedł ze Szwęsią.

Wiedziała ona któremi go drzwiami wprowadzić do swego domu, zawróciła się do tylnej bramy na ten cel przeznaczonej, otwierającemu dała znak jakiś niepostrzeżony i nie powiodła Kaspra do owego saloniku, w którym widzieliśmy ją rozmawiającą z podkomorzym, ale do izdebek na dole, przyzwoicie, skromnie ubranych i jakąś pocziwą a dostojną minę mających. Całą drogę grała swą rolę z taką naturalnością, łatwością i precyzją, że staremu i przez głowę szalbiertwo przejść nie mogło.

I te dwa pokoiki! zdrajcy – jak grały pocziwe, spokojne życie! jak tu wszystko było w porządku, czysto, świeżo, wesoło i jasno. Kwiatki w okienku, łóżeczko wysłane wysoko a bielutkie gdyby śnieg! kluczyki na kołku, kanarek w klatce, dziewczyna prosta do usługi, mebliki stare i niewymyślne. Staremu się aż uśmiechało, gdy pomyślał że ta zacna wdówka może – może – może – starość jego uweseli. Nie widział w tem niepodobieństwa, a czuł się jeszcze na siłach zawrzeć dozgonne śluby. Tymczasem madame zaprosiła go na kawę, a nim ją podano (bardzo poprostu i po gospodarsku) zaczęła mu opowiadać o dawnym handlu, o dochodach jakie miała, o domu, o lokatorach i t. p.

Stary potakiwał, rozczulał się, a że co chwila niby przypadkiem dowiadywał się dokładniej o domniemanej ilości talarów w kufierku spoczywających, o które wdowa bardzo się jakoś turbowała – stawał się co raz czulszy, młodniał, a tak mu się podgolony łeb zawrócił, że wyszedłszy po ucałowaniu rączek rzęsiem, palnął głową o fórtkę, co mu się w życiu nigdy nie przytrafiło.

Ale co to może szał, kiedy w starem sercu obudzi się po niewczasie! Leciał do domu, żeby co prędzej w cztery oczy z bratem o tem pogadać i pochwalić się sperandą. Zastawszy go, nuż się rozpościerać szeroko! Pan Jan milczał, słucał, ramionami ruszał, a że nie był świadkiem wszystkiego i Szwezia nie wywarła nań wpływu, którym potrafiła obalamucić pana Kaspra – na zimno sądząc, domacał się w tem wszystkim coś podejrzanego. Dodać potrzeba, że ożenie brata, z którego spadek na Anusię miał iść kiedyś, jakoś go niemile drasnęło.

Kasper widząc tę obojętność, a nawet znalazłszy niedowiarstwo, ofuknął się.

– Co bo to panie Janie! myślisz się oponować i nie podzielasz moich nadziei? – rzekł nieukontentowany.

– Ale to trochę waści panie Kasprze w głowie świta, coś tak nagle w godzinę już i znajomość i czułość i gotowość stanąć na kobiercu! lichy wie co to takiego, a zapominasz żeś starszy odemnie i ze szpaka na łabędzia już kroisz.

– Co to za szpak! co to za szpak! krzyknął Kasper uniesiony, ale kawaler! ale krzepki, a nie jednego młodzika zakasuję. A to mosanie wdowa ciepła, pieczone i warzone, grosz, kamieniczka i porząddeczek! a co to za ład, a jaka w domu oszczędność! a kufeczek żebyś wasan widział! Pocałować go, tak gada o talarkach.

– Ale nie jużby ona co młodszego sobie nie znalazła?

– Tereferę mosanie – to kobieta stateczna, pobożna, fiubździu w głowie nie ma, a nareszcie stara moja znajomość!

– Ale cóż o niej nie wspominałeś nigdy?

– Tak, terazem dopiero doskonale ją przypomniał, choć dobrze młodszą odemnie, bo taki niczego, wcale niczego, ale na żonę w sam raz! Powinno tak być mosanie – mąż wytrawny, jejmość hoża! I tak Bóg przykazał!

Zatarł ręce, przeszedł się.

– Oto by mnie los spotkał na starość! – rzekł – no!

Anna, która weszła na pół rozmowy, rozśmiała się aż ze stryja.

– Patrzcie no ją! i ten pusty dzieciak chichi ze mnie stroi! no? a czegoż się ty śmiejesz?

– Ale bo stryjaszku, strasznie się po młodemu rwiesz do tego małżeństwa...

– Bom młody mościapanno! – huknął Kasper nie zważając na ruszanie ramion brata – wiodło się życie skromne, uczciwe, młodość siedzi w kieszeni caluteńka, anim z niej tyle nie uronił! Dość tych śmiechów, a co wiem to wiem! i co ma się zrobić, to się robi.

Ojciec i córka spojrzeli po sobie i umilkli. Nazajutrz rano, pan Kasper gdyby na fest wystrojony i odświeżony, drapnął *summo mane* jak sam mówił do kościoła, a tu w ławce na wczorajszym miejscu zastał już swoją znajomość modlącą się bardzo pobożnie i niezwracającą oczu na niego. Dopiero po nabożeństwie zesłi się u święconej wody, co p. Kasper wyrachował po młodemu i udało mu się zręcznie, bo ani czekał ani gonił, tak się z krokami wymierzył. Madame Szweścia rozśmiała się w duchu z nowego kontusza i postawy odmłodzonej konkurenta. Wyszli tedy razem z kościoła, jedną mając do przebycia drogę.

Mijali bramę Krakowską, pod którą jak zwykle śniadał sobie Orlandini; Włoch przypatrzył się dobrze przechodzącej kobiecie i znanemu sobie panu Kasprowi, zdziwił widząc ich razem i pokiwał głową.

– O ho! – rzekł – Madame Szelmosia (nie lubił tej niegdyś swej współzawodnicy) coś już kluje – uczepiła się starego, nie bez kozery.

I rozśmiał się Orlandini na całe gardło gdy go mijali, chcąc Szweścię zmusić żeby się obejrzała, ale łotrzyca czując się poznana przez nieprzyjaciela, nie odwróciła głowy i pospiesznie ciągnęła dalej ku dworkowi pana Kaspra.

Jan teraz czekał powrotu brata, domyślając się a nuż go znów wdówka odwiedzi, rad był w oczy jej zajrzeć. Szweścia jak wczoraj chcąc się powoli przybliżyć do Anny i oswoić ją z sobą, dała się na spoczynek zaprosić. W pochmurnej minie i najeżonym wąsie Sienińskiego domyśliła się coś nieprzyjaznego, więc trochę odłożywszy na potem pana Kaspra, który się musiał odchrząkiwaniem głosem i otworzeniem tabakierki przypominać, starając uwagę zwrócić na siebie, wzięła się jejmość do ojca Anny i do niej.

Rozpoczęła się rozmowa jakkolwiek chłodna, ale tak zręcznie prowadzona, że w pół godziny pan Jan został pokonany, a Anna nawet śmielej coraz i weselej spoglądała na skarbnikowiczowę! O! jak bo na to pracowała udając i poczciwą, i bojaźliwą, słabą istotę, której jedynym celem spokój, nabożeństwo, kawałek chleba na starość.

Wyszła, a Jan z bratem zostawszy w sieni pokiwał głową.

– No! no! – rzekł – istotnie ekstraordinaryjnie miła kobiecina, coś nawet zdaje się tak potulnego, poczciwego! ale to nie dla waści, młoda jeszcze, co się zowie młoda!

– A waćpan mi ciągle tym szpakiem w oczy rzucasz!

– To włóż-że perukę kiedyś to wadzi – odparł Jan – co oko widzi to gęba mówi! Nie dziw że ci wiek przypomnę, dobrze wiedząc kiedyś się urodził, *anno* jeszcze...

– Po co te przypomnienia – przerwał Kasper – stary, no to stary, ale jary! i kwita! i kwita! Ale się jak wmość co drzemiesz ciągle nie wyżył i nie zszarzał. A wdówka! prawda – *ut sic!*

Złożył cztery palce w kupkę i pocałował.

– Co prawda to prawda – miła! nieszeptna kobiecina, a mówisz że i grosz jest?

– Ba, cicho szepnął Kasper połykając ślinkę.

Kamienica! porządki i – kufereczek! kufercio! a! Albow bardzo tępy, albo tak lekko ceniąc, kilkanaście tysięcy talarów oszacować je można – posażek piękny! a żem kawaler, dodał mrugając oczkiem siwak – ona wdowa, zapis mi się należy – *to rerum natura!*

Jan milczał, Anna się śmiała, bo byli weszli do izby i tu już rozprawiali...

– Nie zapominajże Anusiu, żeśmy do niej zaproszeni wszyscy na poobiednią kawę, dołożył Kasper – zobaczycie ją w domu! rządna niewiasta!

Słodkie uśmiechy i słówka mniemanej wdowy nie ułudziły dotąd Anny, nie wzięły ją wcale za serce, ale w tęsknem jej życiu, ta rozrywka którą obiecywała nowa znajomość, nie była do odrzucenia.

Nie gniewała się że jej ktoś przybędzie, do kogo czasem słowo przemówić by można, u kogo trochę się rozerwać w smutku. Po obiedzie ubrała się skromnie ale starannie, a że pan Kasper wciąż na stary srebrny zegarek spoglądał, któremu że większego indexa brakło, pokazywał co chciał i co mu kazano, przed czwartą jeszcze ruszyli w odwiedziny.

Szwęsia przyjęła ich znowu na dole, w tych dwóch dość ciasnych izdebkach, przystrojonych tak skromnie i pocziwie; przybranie ich do okoliczności było całkowicie komedją, utworem artysty. Ani Anna ani jej ojciec nie dojrzeli najmniejszego fałszu, bo całe życie ze wszystkimi szczegółami tak było odgadnione doskonale i schwywane żywo, jakby w istocie w tych izdebkach żył kto, tęsknił, nudził się i płakał. I książka pobożna i krzyżyk i palma sucha, wygodki, poduszka i podnózek wszystko było na miejscu, a przecie te izdebki były ubrane dla Sienińskich tylko, i do wdowiego stanu służyły za dekoracją. Szwęsia była niewyczerpaną w podobnych conceptach i stawiała się każdemu jak było potrzeba, nigdy nie zaniedbując scenicznych akcesoriów.

W progu już zastali jejmość w białym pudermantlu, wyświeżoną ale bez rózu i bielidła, które zwykle nosiła, pozornie bardzo uradowaną przybyciem gości, a jak zawsze skromną, cichą, łagodną.

Po smutnej izbie dworku, te pokoiki świeżutkie jeszcze, z trochę zieloności, ze spiewem kanarka, ze swym sprzętem wygodnym, uderzyły Annę i przypominając jej życie wiejskie, łzy prawie wycisnęły z oczu. Rzuciła się do wazoników, zielonością ogród w Głuszy i kwiatki starościnej przypominających, do kanarka... Szwęsia niby nic nie widząc, śledziła każdy jej ruch i łzę nawet postrzegła.

– To doprawdy jakieś niewiniątko, powiedziała w duchu – z tem to kłopotu więcej niż warto – no! ale to nie moja rzecz!

Wkrótce podano kawę, na grzeczności dla Anny szczególnie siliła się wdówka, i tak dobrze udaną jakąś czułością potrafiła ją ku sobie pociągnąć, że chciwa przywiązania Anusia, nie potrafiła być całkiem niewdzięczną. Poczęła ją zwać przyjaciółką, spoufalać się, ośmielać. Pan Kasper rosnał, bo i jemu dostawały się choć okruchy oświadczeń i serdeczności; a wdowa dla niego umyślnie co raz to coś o talarach brząknęła, co go rozplomieniło niesłychanie. Chodził poglądając nieznacznie na próżny ale dobrze zamknięty kuferek pokryty dywanikiem, stojący w drugiej izdebce przy samym łóżku, nie mógł się od tego nęcącego widoku oderwać. Oczy wdowy do reszty go durzyły, bo nań tak czule patrzała, jakby jutro iść mieli do ołtarza.

Kilka godzin zbiegły żywo na opowiadaniu o dworze księstwa kasztelaństwa, któren Szwęsia zdawała się znać na palcach, choć w życiu go nie widziała. Rozweselono nawet Anusie, i pan Jan który towarzyszył córce, po kawie się tylko na kufrze pod oknem trochę zdrzemnął wedle zwyczaju. Króciutko to trwało, przeszło nie postrzeżone i ujęło za serce pana Jana, powtarzał i o tem ciągle.

– Bardzo miła kobiecina! i taka gościnna! Ale sobie gacha wybrała! no! no!

Jeszcze w progu zapraszając serdecznie Anusie do siebie, pożegnała ich Szwęsia, a ledwie wyszli, przebrana inaczej, rzuciła się w czekający powóz i pojechała do podkomorzego.

Przez tych dni kilka nie miał on żadnej o losie swoim wiadomości, co go okrutnie jątrzyło, ale że mu kazano czekać, musiał, i w miarę jak nieprzywykły do cierpliwości na zniesienie niepokoju się wysilał, rosły w nim żądze, pracowała głowa – byłby dał wszystko co chciano za Anusie, którą raz najrzał w życiu! Rozrywał się wprawdzie grając po nocach całych, ale że to było pod wieczór jakoś, jeszcze go w domu zastała madame, właśnie u toalety. Porzuciwszy więc fryzurę i puder, jak stał w białym pudermantlu, na wpół umączony, nie starszy twarzy, poleciał do niej, drzwi kazawszy pozamykać.

Szwęsia siedziała już z nogami na kanapie, a ujrawszy podkomorzego w tym stroju, poczęła się śmiać, domyślając się jak go tam już niecierpliwość piekła.

– No, a cóż Szwęsiu kochanie! a co? – krzyknął wpadając podkomorzy i wcale nie obrażając się śmiechem jej.

– Podziękujże mi naprzód zem się do ciebie sama *en personne* fatygowała – a ślicznie mnie przyjmujesz! fe! co za paskudnik!

- Przepraszam cię, ale tak jestem ciekawy!
- A tu nic nie będzie! – chłodno powiedziała Szwędzka.
- Jakto! – wybuchnął gwałtownie podkomorzy łamiąc rękę – a tom zdyszonorowany. Uśmiechnęła się tylko.
- Ale możeż być żebyś ty! ty! nic nie dokazała?
- Co myślisz! Dziewczyna po uszy rozkochana w Ordyńskim, prosta, głupia, ani do niej przystąpić. Otacza ją dwóch starych, wyschłych zakamieniałych dziadów, pilnując jak we łbie oka. I nic to interesów nie rozumie.
- Ani pieniędzy nawet?
- Albo to oni ich potrzebują?
- Ależ stryj skąpiec?
- Patrz! jak już wie! rozśmiała się Szwędzka i nagle ton zupełnie zmieniła – no – co mi dasz? to ci ją na Nalewki przywiozę, na dzień i godzinę naznaczoną.
- Co chcesz?
- Fe, myśli się targować!!
- Nie targuję się, ale pytam.
- Bądźże wspaniałym – zawołała Szwędzka po swojemu – sypnij! jest za co! nie ma co mówić! różyczka! I że przywiozę to pewna, ale dalej, dawaj sobie rady jak chcesz – ja się w to nie mięszam, i przepowiadam nawet że kłopot mieć będziesz.
- Podkomorzy trochę się zamyślił.
- Co będzie to będzie – rzekł – ale pokażę ludziom że co zechcę to dostanę; w sobotę u mnie wieczór, gości hukiem, Anna musi mi pogospodarować.
- No, ale cóż mi dasz – rzucając nań okiem chciwem przerwała łotrzyca – mów-no co dasz?
- Mów co ci mam dać?
- Wstała z kanapy jejmość i przeszła się po pokoju, niby namyślając.
- Siadaj i pisz weksel do Cabrego na...
- Schyliła mu się do ucha.
- Podkomorzy poszukał tylko kałamarza, chwilę podumał.
- To ci dam weksel w sobotę.
- A niewierny! – dumnie krzyknęła rozgniewana – no! to bywaj zdrów!
- Jakto? ale ja ci wierzę, tyłkom się chciał wprzód Cabremu opowiedzieć – podchwycił przestraszony podkomorzy – ale kiedy tak, na, bierz, byle tak było, jakem prosił.
- Słuchaj, na dzień i godzinę nie chybię, bo to moja rzecz, ale jak się z tego wywikłasz, co wyniknie, nie moja sprawa. Stworzenie całkiem dzikie, ażeby je ugłaskać, więcej potrzeba czasu, to już nie moja sprawa.
- Podkomorzy pochmurny usiadł pisać, a madame chodząc po pokoju zobaczyła pierścionelek leżący na stoliku, i włożyła go na palec bez ceremonji.
- A to na pamiątkę dla mnie – rzekła pokazując.
- Podkomorzy tylko ramionami ruszył.
- Wartam i więcej bo prawdziwą robie dla podkomorzunia ofiarę.
- W sobotę na Nalewkach – przerwał gospodarz oddając weksel.
- Będę jak zacznie zmierzchać! Bądź zdrów podkomorzuniu. – Rozśmiała się szydersko mówiąc po cichu: – Tyle twego podobno, co się tymczasem naspodziewasz.
- I kiwnąwszy mu głową na którą spuściła welon, znikła znajomemi sobie drzwiami.

III

Podczaszyc siedział jeszcze w klasztorze zamknięty, dumając i zzymając się na dziwne położenie swoje. Chwilowe myśli jego brały religijny kierunek, to znów niecierpliwił się i narzekał na losy. Od dni kilku dziwny jakiś smutek go trapił, któryby był nazwał przecuciem, gdyby filozofia Poinso't'a dozwoliła mu przypuścić ten fenomenalny stan ducha. Tłumaczono to podówczas zdrowiem, żołądkiem, mózgiem, chorobą, czem chcąc byle nie duszą, której upierano się nie widzieć w człowieku. Niespokojniejszy był niż kiedy, więzienie gorzej mu coraz ciężyło, nawet trochę umiejąca go ukołysać rozmowa O. Spirydjona, teraz drogi do serca, zawalonego jakimś ziemskim uczuciem, wynaleźć nie mogła. Starzec czekał ale wzdychał.

– Twarda natura do dobrego – mówił w sobie – rekluzja nawet pożyć jej nie może, przyjdzie może czas upamiętania, ale nie rychło... i kto wie czy przyjdzie?

Pomimo jednak zewnętrznych oznak zatwardziałości, podczaszyc zmieniony był znacznie swoim pobytem u kapucynów – nie otworzyło mu się serce ale zmiękło, nie poprawiły pojęcia, ale uznał że obok nich istnieją inne, mocą których ludzie w spokoju i zgodzie z sobą i światem żyją – rzucone było ziarno, choć nie schodziło jeszcze.

Sama ta tęsknota, która często poprzedza nawrócenie, dobrym już była znakiem, a zwrot częsty ku dzieciennym latom, symptomem pragnienia innych wrażeń i żywota. Żywił jak mógł ojciec Spirydjon dobre ziarnka chuchając na nie i pielęgnując, a czekając wschodu, nieraz też kto z gości poufałych klasztoru odwiedzał samotnika przychodząc w pomoc kapłanowi. Tu, do koła pocziwych księży, przy zacnym O. Spirydjonie, krążyły jeszcze ostatki lepszej społeczności, w szczątkach tylko pozostałej w stolicy – nie zepsutej niewiarą, bogatej w uczucia, które zapał religijny w duszy zasiewa.

Dziwnie zaprawdę wydawali się ci starcy podczaszycowi, który na nich spoglądał z ciekawością jak na istoty drugiego świata. Mało podobnych wówczas liczyła Warszawa, podzielona na kilka obozów stronnictwami politycznymi, a nie zamykająca w sobie jak drobną cząstkę tego, co starą Rzeczpospolitą reprezentować mogło. Najpocziwszym już wówczas paliły się głowy reformami dziwnymi, nowostkami, najlepszych doszła zaraza niewiary, obojętności religijnej i cudzoziemszczyzny.

Możemy sobie poniekąd wyobrazić jaki był, rzecz można, szał umysłów, gdy z najlepszymi chęciami, szukano dla kraju lekarstwa w ustawie, którą Russo siadał pisać na serjo. W tym sposobie działo się przecie wszystko – nie budowano na krajowym gruncie, z cudzej myśli przedzono przyszłość, chciano ją zasadzić latoroślą z pod innego nieba wziętą. Wyższa społeczność przy najpocziwszych życzeniach, błędziła wiedziona ideami wieku i z nich się wyplątać nie umiała, przywykła do lekceważenia co swoje. Na wsiach tylko, po zagrodach panował jeszcze duch przeszłości dotąd nietknięty, i tam żyli ci co piastowali ostatek podań krajowych. Świat to był tak dalece różny od tego, który się wyrabiał w miejskich towarzystwa sferach, wyższych zwłaszcza, że każdy głos pośła co pierwszy raz rzucił swą cichą chatę, by radzić na sejmie, brzmiał na nim jak z grobu wywołany, przed stu-letnią myślą. I głuchły te głosy nie wielu, niepojęte, niesłuchane, wyśmiewane najczęściej, zagłuszane krzykami kilku gardłaczy, gdy, jak współczesny jeden pamflet powiada – Branicki z Sapiehą knuli rzeczy po cichu, Suchorzewski i Suchodolski imponowali sejmowi, Zaleski i Mikorski coraz to nowe poddawali projekta, księżę jenerał i Stanisław Potocki ustawnie perswadowali, Byszewski i Łączyński milczeli, a król jegomość cierpliwie znosił wszystko.

Ta więc społeczność nieznana podczaszycowi, której próbki miał zręczność poznać u kapucynów, była dlań zupełną nowością. Byli to ludzie, których ubóstwo i wieś uchroniły od nabrania poloru wieku, u których tradycja czczoną jeszcze była i szanowaną jak arka narodowa, ostatnie niedobitki rzeczypospolitej Jagiellońskiej, konającej teraz w objęciu reformatorów. Starzy konfederaci Barscy, z kresami chlubnymi na głowie, gotowi jeszcze byli pod starość sięść na koń i co dzień chodzili siodła swe i moderunki oglądać; zakonnicy wreszcie, których stan chronił od zepsucia.

Maluczki ten świat, który wzdychał, modlił się, płakał i czekał, który miał serce i wiarę, patrzył już tylko na czynnych, ale sam nie był w czynie – miejsce jego zajmowało pokolenie, którego chęci walczyły z fałszywym pojęciem środków. Tu się przysłuchiwał młody człowiek podaniom mało znanej przeszłości, z której wprzód uczono go się naśmiewać, i poznał że szacunku była godną; tu ujrzał, że barbarzyństwo, którym rzucali w oczy zepsuci by się sami od zarzutu wynarodowienia obronić – całe było w fałszywym pojęciu form, których znaczenie zgasło.

W poważnym tem kole sędziwych, pobożnych, zapłakanych starców i myśl jego spoważniała trochę, choć z zatwardziałością upartą wpływowi ich się bronił. Nie raz już O. Spirydjon miał na ustach słowo z którym wyczekiwał dogodniejszej pory, by nie zrazić niewczesną gorliwością, – a w tem wszystkie nadzieje starca rozsypały się w proch w jednej chwili.

Tegoż dnia, a było to w sobotę, gdy staraniem Fotofero i de Cerullego zgoda z Rybińskim zawartą została, gdy i ksiądz biskup kujawski przez króla ukołyszany, zezwolił na nieposzukiwanie napastnika synowca swego, – podczaszyca wezwano wieczorem do fórtu. O. Spirydjon, który wypadkiem chodził, usłyszawszy że go wołano, a myśląc że to może sztuka nieprzyjaciół, co dowiedziawszy się o miejscu, chcą go tylko wywabić, zwrócił się do przybyłego i spytał:

– A kogo to żądacie moje dziecko?

Tem dzieckiem był niegdyś marszałek dworu i totumfacki podczaszyca, imci pan Frejer, do którego z rana zabiegł cavaliere, dając polecenie, żeby się do swego pana dostał.

Frejer z początku niechętnie się brał do tego, bo usunąwszy się przy rozbiciu z rachunkami, bardzo ślicznie spisaniem, nie miał potrzeby ratować Ordyńskiego, nie posądzając żeby jeszcze co w kieszeni jego do wyłowienia i obrachunku znajdować się mogło. Słyszając o stanie interesów podczaszyca, będąc świadkiem jak dom i sprzęty zabierano, myślał, że podczaszycowi *caput* będzie, jak mówił; jako bardzo porządny człowiek nie chciał się do nieporządnym chudopacholskich spraw mieszać. Cavaliere go dopiero przywiódł do pomiarkowania.

– Co ty sobie myślisz? – zawołał do niego po niemiecku – czy ty nie wiesz, że panowie są jak koty, które choćbyś zrzucił z największej wieży, zawsze padną na nogi i nic im się nie stanie? Pójdiesz do niego i oddasz mu kartkę moją, dodając ustnie, że sprawa z Rybińskim skończona, że nie ma się czego obawiać wyjść na świat; – powtóre, dasz mu list z Florencji donoszący o śmierci jego matki, a potrzebie dodasz, że jest pilniejszy nad wszystko interes... dla którego powinien spieszyć...

Frejer dobrze się namyśliwszy, wziął kartkę i list i wybrał się do kapucynów, a gdy O. Spirydjon zagadnął, chciał zaraz kartelusz podać, ale pismo z kieszeni znikło jak kamfora.

– Kogo to żądacie?

– Podczaszyca Ordyńskiego – rzekł Niemiec z poważnym jak suknia jego ukłonem.

– Ale – rzekł O. Spirydjon po łacinie, przypatrując się ciekawie Niemcowi – ja tu o żadnym w tej chwili nie wiem.

– Podczaszyc Ordyński Michał! – począł nalegać wciąż kłaniając się Frejer.

– Czego od niego chcesz?

– Mam poselstwo, ważne, wielkie, smutne! – łamanym językiem począł łatając się Frejer, któremu łaciny nie starczyło.

– Cóż takiego?

Niemiec potrząsnął głową.

– Jakże się waćpan nazywasz – spytał ojciec – to się pójdę dowiem.

Niemiec po raz trzeci się uklonił, a że Polska szlachecka, uczyła szlachectwa wszystkich, a kto w niej parę lat pobyl, już herbownych nabierał pretensji, Frejer, syn tkacza gdzieś w Saksonji, odparł:

– Nazywam się Justus Bartholomäus von Frejer!

Z tem poszedł zakonnik do celi i otworzywszy drzwi, zastał podczaszyca spartego na stole, a tak zadumanego że wnijścia jego nie słyszał.

– *Laudetur...*

– A! dobry wieczór jegomości!

– Powiedz mi kto to jest Justus Bartholomäus von Frejer?

Podczaszyc, który pod tem nazwaniem z trudnością poznał swego dawnego pomocnika, nie rychło wykrzyknął:

– A! Frejer! to mój niegdyś totumfacki! ale zkądże go znacie mój ojciec?

– Jak myślicie, czy to uczciwy człowiek? – spytał O. Spirydjon – nie zdradziłby was?

– Ale nie! to człek dobry, flegmatyk, Niemiec, i okrutnie regularny w registrach, o pieniądze trudno z nim było zawsze, ale co w rachunkach nikomu się nie da przepisać!

Rozśmiał się kapucyn.

– No, to może chcesz się z nim widzieć, czeka u fórtu!

Podczaszyc ruszył chcąc wybiedz, tak mu zapachniało stare życie, którego Frejer był przypomnieniem, ale go ksiądz powstrzymał.

– Czekał, bezpieczniej ci go tu wprowadzić!

I rzuciwszy na podczaszycę pełnem litości wejrzeniem wyszedł, a po chwili wsunął się Frejer, kłaniając się bezustannie. Ordyński o mało go w pierwszym zajpale nie uściskał – tak był głodny wrażeń, plotek świata...

– Jakżeś mnie tu wyszukał?

– Posłał mnie cavaliere Fotofero – miałem nawet listek, – ale Niemiec zaczął szukać po kieszeniach. – Co to jest? Dziwna rzecz! ja nigdy nic nie gubię! Dziwna rzecz!

I brwi podnosił i ramionami ruszał i rewizją sukni rozpoczął jak najsumienniejszą, ale listu znaleźć nie mógł.

– Nie pojmuję jakem potrafił zgubić.

– No ale wiesz przecie – zniecierpliwiony tą zgubą i flegmą z jaką Niemiec ledwie skończywszy poszukiwanie, znów je na nowo przedsiębrał – ależ wiesz z czem cię posłano?

– Cavaliere Fotofero mówił mi... ale jakże ja mogłem zgubić kartkę! – powtarzał Frejer, który poczynał wywracać kieszenie aby je poznać że były rewidowane.

– Zgubiłeś, toś zgubił, mniejsza – tupnął nogą Michał – ale mi mów z czem cię posłano.

– To nic, ale jak mogłem zgubić list! – zawołał niepokonany Niemiec – to niepojęta.

Nareszcie gdy wszystkie kieszenie, kieszonki, chustki, kapelusz, najsumienniej przejrane zostały, Niemiec westchnął.

– To niepojęta! rzekł.

– To niepojęta jak ty jesteś nudny – zawołał podczaszyc przeskakując z nogi na nogę – mów naprzód z czem cię posłano?

– Kazano mi powiedzieć, *primo* – tu Frejer zobaczywszy kieszenie powywracane i suknie rozpięte, znów je do porządku zaprowadzać się zabierał – *Imo* że JW. pan śmiało i bezpiecznie wyjść już możesz, gdy sprawa z panem Rybińskim skończona, a król Jegomość księdza biskupa wzięt na siebie; *2do* że z Florencji przyszła smutna wiadomość pod datą...

– Co? od mojej matki?

– JW. podczaszyna nie żyje! – flegmatycznie z ukłonem rzekł Frejer.

Ordyński rzucił się na krzesło łamiąc ręce.

Szczerze on przywiązany był do matki, choć między nim a nią nie widać było tej czułości, która rodziców z dziećmi wiązać powinna, ale u obojga zatajone tłało uczucie, któremu tylko zimny wieku obyczaj na wierzch wyjść nie dozwalał.

Chwilę podczaszyc pozostał tak w smutnem zadumaniu, które Niemiec tem łatwiej poszanował, że użył tej chwili spoczynku na nowe poszukiwanie w kamizelce i pludrach, równie bezskuteczne jak pierwsze.

Michał zapłakał nad sobą i nad nią... na obcej ziemi w sieroctwie zmarłej. On także uczuł się sierotą i zadrżał, myśląc, że na jednego Boga tylko śmiało rachować może.

O. Spirydjon, który się ukazał w tej chwili, zastał Niemca jeszcze się systematycznie przetrząsającego, a podczaszycy we łzach. Łzy te niemal go uradowały, bo płacz, to owoc serca, a nie każdy zapłakać może!

– A! co ci to dziecko moje! – zawołał z uczuciem – co ci to jest?

– Odebrałem wiadomość o śmierci mojej matki.

– Módlmyż się za jej duszę – rzekł po cichu kapucyn klękając... i począł głośno – Anioł Pański.

Niemiec stał i patrzył, podczaszycy zawahał się by za starym modlitwę powtórzyć – choć myśl już była gdzieindziej.

– Cóż teraz myślisz z sobą – spytał powstając O. Spirydjon.

– Właśnie mi przyniesiono wiadomość – odpowiedział podczaszycy – że sprawa moja o zadanie rany Rybińskiemu skończona, dzięki przyjaciołom. Śmierć matki wkłada na mnie nowe obowiązki i zajęcia – muszę wyjść natychmiast, ojczyźnie pozwól bym ci złożyć serdeczne dzięki za gościnność!

Starzec patrzył na niego prawie rozczulony.

– Ha – wyjąkał powoli – idź w imię Boże – ale wolałbym był żebyś tu jeszcze pozostał. Świat, stary bałamut, znów cię obejmie i omami, i to coś w siebie wzięty ze spokojniejszej, świętej tych murów ciszy, zwietrzeje rychło! Bogdaj byś kiedy przypomniał sobie te dni rozmyślania i pokoju, jakieś tu spędził!

A jeśli cię serce zaboli, powróć tu do nas, panie Michale – powróć do nas, do Boga... tam... może ci na chwilę weselej się zda, ale przeczumiawszy godziny policzone... żal ci ich będzie, bo każda owoc dać powinna, a te ci i kwiatu nawet nie zostawią po sobie!

– Dziękuję ci, dziękuję ojczyźnie – powtarzał podczaszycy.

– Dziękujesz, płaczesz, ale dla czegoż tak ci się wyrzywać pilno? Idź więc... idź! i niech cię Bóg ręką starca błogosławi!

Frejer jeszcze szukał nic nie znajdując dotąd, podczaszycy trochę rozczulony, ale odzyskaną swobodą rozgrzany, pochwycił za płaszcz i kapelusz – wyszli. – O. Spirydjon milczący przeprowadził ich do fôrty, otworzył drzwi i krzyżem za podczaszycem ściskającym dłoń jego, drogę przeżegnał.

Wieczór już był dość późny – Ordyński spojrzawszy w gwarną ulicę, na ruch i zgiełk miejski – zastanowił się odurzony, serce mu bić zaczęło.

– Frejer – rzekł – przyprowadź mi fiakra, iść nie mogę.

Powolnie rozmyślając Niemiec, odstąpił kilka kroków zbierając się iść i obrachowując gdzie mu najbliżej będzie wynaleźć żądany powóz, gdy zdyszany, przerażony, z wyrazem bólu i rozpacz na twarzy, stary Sieniński wpadł na wschodki wiodące do fôrty i nie postrzegłszy potracił podczaszycy.

– A to ty stary!

– A to pan!

– Co ci jest Sieniński?

– A nieszczęście! okropne nieszczęście! wykradziono, porwano gwałtem, zdradą, podejściem moję Anusię, moje dziecko... nie ma jej! panie ratuj!

To mówiąc starzec ów tak zwykle powolny, co od pół życia drzemał więcej niż żył, tknięty w serce, powalił się u nóg podczaszycy i zaszedł z gorzkiego płaczu.

– Co? gdzie? jak? co się z nią stało? mów! mów!

Chwycił się Ordyński zapłoniony, bo wspomnienie Anusi wrzuciło go do szaleństwa.

Ale stary Sieniński prawie bezprzytomny ciągnął go, chwycił za nogi, nic prawie mówić nie mogąc, i przerywanym tylko powtarzając głosem:

– Córka moja! moja córka – mój skarb! Anusia moja!

W tejże chwili jak na zawołanie, z głębi ciemności nocnych zjawiał się o parę kroków od nich płaszczem obwinięty Fotofero. Stał on patrząc na obu i uśmiechał się złośliwie. Podczaszycy pierwszy go postrzegł.

– Cavaliere ty tu...

– Na usługi wasze jak widzicie... już pan wiesz o porwaniu Anusi?

– A ty?

– A ja od dawna.

– Kiedyż to się stało! kiedy! kto? jak?

– Dziś dopiero! przed chwilą ledwie!

– Wiesz gdzie jest?

– I kto ją uwiózł, i jak i dokąd i dlaczego, wszystko wiem – rzekł zimno cavaliere. – Może to się połata – uśmiechnął się – ty stary powracaj do domu, a my ci trochę poczekawszy przywieziemy córkę. – To mówiąc klasnął w ręce, i fiakr z ciemności się wynurzył, a podczaszyc cały zburzony, nie oglądając się już na płaczącego starca, skoczył z Fotoferem do powozu. Na dany znak, skry posypały się z pod kopyt koni, polecieli...

IV

– Dokąd mnie wieszysz? – spytał oprzytomniając się Ordyński – gdzie ona? co to za porwanie? mów, proszę cię... zaklinam.

– Cała ta historia funta kłaków nie warta – rzekł poważnie Włoch – źleś waćpan zrobił, żeś się w tym klasztorze zamknął, gdzieś z nudy mógł suchot dostać, a świat cały zgubiłeś z oczu. Mówiono wiele o Anusi tymczasem, bo mówiono o tobie, podkomorzemu brańskiemu głowa się zapaliła, zaklął się i założył że Anusie mieć będzie – i...

– Co, ten łysy rozpustnik! ten karciarz przebrzydły, śmiałyby dotknąć Anusi?

– A! a! – rzekł cavaliere – a cóż to znowu za drogocenna perła – dziewczyna jak inne, tylko podkomorzy zrobił po swojemu, nie chciało mu się popracować samemu, zapłacił Szwedzkiej, Szwedzka ją wykraffa i zawiozła mu do jego domku na Nalewki!

– Prędeż! prędeż! – zakrzyczał podczaszyc. – Na Nalewki – na Nalewki, nie mogę zrozumieć dokąd się fiakr kieruje.

– O! jakże ci pilno! – szydersko rzekł cavaliere. – Kochasz ją! przyznaj się?

– Nie czas mówić o tem, podkomorzemu łeb roztraskam, serce wydrę – to zwierz nie człowiek! dla dogodzenia fantazji gotów by krzyż zdjąć z kościoła! prędeż na Nalewki.

Cavaliere patrzył mu pilno w twarz.

– Nic nie mam – rzekł – przeciw zabiciu podkomorzego i kogo ci się podoba, ale pamiętaj kochany podczaszycu, żeby to nie był drugi tom sprawy z Rybińskim.

Podczaszyc nie słuchał powtarzając swoje:

– Na Nalewki, żywiej! zapłacę konie! niech popadają!

Konie też leciały jak ptaki, a jemu krew kipiała, twarz płonęła, dłoń drżała, bo poczuł że kocha Anusie i byłby się rzucił za nią na całe piekło.

Cavaliere śmiał się tylko z pod zakrzywionego nosa. Stanęli nareszcie u bramy zamkniętej.

– Tylko nie krzycz – rzekł do niego towarzysz – cierpliwości! wpuszczają tylko proszonych, ja znak wiem, otworzą nam.

To mówiąc, wysiedli, Fotofero zapukał do wrót zamkniętych, trzy razy po trzy, fórtka otwarła się natychmiast, podczaszyc odepchnął Włocha, który znikł, stróża, co się go chciał spytać o hasło i wpadł na dziedziniec instynktem się kierując, na oświecone wschody, które po cztery na raz przeleciał! uderzył o drzwi oświeconej salki i cały jeszcze rozplomieniony, oszarpany, rozpięty, wskoczył w tłum mężczyzn, wśród których szukając oczyma nie znalazł kobiety.

Towarzystwo wesoło się zabawiało choć bez gospodarza, śmiano się, szeptano, rozmawiano w kupki pozbijawszy. Oczy wszystkich zwróciły się na podczaszyc, a że wcale był niespodziewany i gniewny, skupiono się do koła. Ordyński rozepchnął ich i popędził słowa nie mówiąc do drzwi wiodących w głąb domu. Trafił na salę jadalną i stół zastawiony wspaniale, przebiegł ją! oparł się o drzwi zamknięte które wyłamał i przez ciemny jakiś pokój dostał się do sypialni podkomorzego, z której dochodzący go głos płaczliwy do reszty gniew jego rozniecił. Na środku pokoiku, sam na sam z podkomorzym, który stał jak do modlitwy ze złożonymi rękami w pokornej i błagającej postawie, Anna trzęsąca się z gniewu, we łzach, ale z oczyma ognistymi oburzeniem, sparta o stół, wołała.

– Proszę mnie ztąd wypuścić! Co to jest? kto pan jesteś! jak pan śmiesz.

– Jam twój wieczny sługa – mówił podkomorzy.

Na te słowa wpadł jak burza Ordyński z dobytą szpadą i równocześnie krzyknął:

– Kto on jest! nie godzien pocziwego imienia które nosi! szubienicznik i zbójca!

Podkomorzy porwał się na hałas jakby go kto ranił, cofnął, spojrział, osłupiał z zadziwienia zobaczywszy podczaszyc. Anusia skoczyła ku niemu, rzuciła się i wykrzyknęła:

– A pan Michał, mój zbawca!

I w tej chwili u nóg się jego osunęła zemdlona.

Podkomorzy nie zebrał się jeszcze na żadną odpowiedź, tak go napaść ta zmięszała, gdy Ordyński rzuciwszy nań wzrokiem wściekłym, na ręce chwycił zemdloną i szpadę wziawszy w zęby, wyszedł nazad przez jadalną do sali. Tu gwar i zamieszanie znalazł wielkie – wszyscy znając już gwałtowność Ordyńskiego, obawiając się krwi przelewu, lecieli rozbrajać. Ordyński na chwilę złożył ciężar swój na kanapie, szpadę wsunął do pochwy, stanął i drżący przerywanym zawołał głosem:

– Mielicie panowie być świadkami jak sobie ten łotr igraszkę chciał zrobić z niewinnej i pocziwej kobiety – zaprawdę piękna zabawka! Biorę was za świadków, że go lżę i zbezczesam do ostatniego, że go mam za najpodlejszego z ludzi, i że tę rękawiczkę rzucam jakbym mu rzucił policzek w twarz, gdyby wart był żeby go się pocziwa ręka dotknęła.

– Podczaszycu oszalałeś! – szepnęło kilku. Ale on nie słuchając, wziął znowu na ręce omdlałą i z pośrodku rozstępujących mu się wyszedł niosąc ją na wschody. Dwie łzy wrzące lały mu się po twarzy, to bladej jak mur, to czerwonej jak ogień.

Po za nim szmer, gwar i hałasy powstały. Podkomorzy niewidzialny stał na progu sali, gdy go lżył podczaszyc, ale się nie ukazał, wszedł po zniknięciu jego, cały pomieszany i wylękły. Goście milczeli spoglądając po sobie, nie wiedząc jaką tu robić minę, najprzezorniejsi wynosili się po cichu, nie mając już na widoku wesołej wieczery i hulanki.

– Słyszeliście! – poprawując stroju i fryzury, rzekł podkomorzy, bladej jeszcze i niemogący przyjść do siebie. – Nikt nie odpowiedział.

– Ba! apelacja do Jeziornej! – brząknął ktoś poczekawszy.

– Jeszcze Panu Bogu podziękuj że cię jak Rybińskiego nie przekuł, bo jak widać na żartach się nie zna.

Podkomorzy zaciął usta.

– Ha! – rzekł usiłując się nadstawić i minę nadrabiając – mniejsza o Jeziornę, na dwoje babka wróżyła, ale mi żal tego ślicznego dziewczęcia. Ledwie ją Szwęsia przywiozła, ledwie perswazjami pierwszy strach i płacz utulać począł, spodziewając że to się skończy ślicznie, pięknie i spokojnie, a tu go lichy przyniosło! z kąd-że się wziął? wszakże był za granicą?

Gospodarz próżno się silił zatrzeć wrażenie tej sceny na gościach. Towarzystwo było zważone, najserdeczniejsi ledwie coś pod nosem pykali niezrozumiale, obojętniejsi milczeli przypatrując się zdaleka, a przyjaciele z pokoju pouciekali.

Nie brakło i tych co już szydzili po cichu – wesołości ani sposób wyprosić!! – wieczór zupełnie się nie udał!

Tymczasem podczaszyc niosąc na ręku Anusię omdlałą, a niekiedy konwulsyjnie go jakby przez sen odpychającą, zbiegł ze wschodów w dziedziniec, dopadł bramy, którą mu coś otworzyło i stanął w ulicy, rozglądając się na wszystkie strony.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.